



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z KSIĄG PROROCKICH.

I

Modlitwa Ezdraszowa (Ks. IV—Rozdz. 8).

O Panie! daj Ty mówić duszy mej przed Tobą!
Nie o wszelkim człowiecze, który sąd Twój czyni,
Ale o ludu Twoim, co z swoją żalobą,
Nędzarz skrzywdzony—chodzi po życia pustyni,
Ale o Twem dziedzictwie, dla którego płaczę,
Ale o domu ojców, dla których boleję,
Ale o pokoleniu, co stopy tułaczę
Z wieku na wiek przenosi, goniąc swe nadzieje.
Ty zasię mierzysz czasy a twoje żrenice
Na powietrze wzniesione i na wysokości,
A z rąk swych puszczasz światy, jako gołębie,
A straż twoja jest w ogniu—i w wichrów chyżości.
Rozkazanie Twe mocne, a ład Twój—straszliwy;
Trwająca jest twa powieść—i prędkie twe sądy;
Spojrzenie Twe wysusza mórz głębie—i lądy
Rozpuszcza w oceanach—i rozżarza słońce.
Ty wybierasz narody i zakuwasz w zbroje
I rzucasz je płomieniem na czoło stuleci,
I patrzysz, jak się wzmaga—i jako się świeci
Orzeł twój podświetlony, lecący na boje.
I w ślady za nim ciskasz tęczowe korony,
I komet miecz ognisty, i wołasz go zasię,

I gasisz, jak pochodnię—i porzucasz w czasie,
Jako proch osypany i popiół wzgardzony.
Lecz ducha tego, który w piersiach jego żywie,
Jako mgłę srebrną puszczasz, i jako dym siny,
W tajny wątek żywota—i w dziejów zaczyny,
I siejesz go, jak ziarno zbożowe, na niwie.
I niezalezion będzie między umarłemi
Żaden z tych, którzy tchnęli pod twoje błękity;
I wzbudzisz z cieniów wieku rozbłyski i światy,
I dębom obalonym wstać każesz na ziemi.
Lecz teraz—w rozdzieleniu czasów żywot pędzę—
I na rozstajnych drogach sądów twoich stoję;
Przeto wołam i tobie wyznawam tę nędzę,
Co jak robak w żrenicy—zakrwawia lzy moje.
Przech-żes rozproszył. Panie, jedynaczka swego,
I drapieżnym go wielu podał—na zginienie?
Przech-żes go ty porzucił w pył dzienny i w cienie,
Iż depcą po nim konni—i ci, którzy biegną?
Przech-żes zdmuchnął nad głową maluczkich swą
[zorzę
I nakarmił jastrzębie polnemi ptaszęty?
Ażaż ziemia moc swoją z krwi tylko brać może,
Azali zwyciężony—przed tobą przekłęty?

Lecz mowa o tych rzeczach trzęsie się i łamie,
I drży w sobie—zgwalconym zaparta językiem...
A wołaniem do Ciebie—wzniesione to ramie,
A milczenie łez pełne—rozwgłosnym ci krzykiem!...

Marya Konopnicka.

WSPOMNIENIE POETY.

(Dalszy ciąg)

Pamiętnik Jokaya zaczyna się od wspomnień szkolnych. W Pápa, w starożytnym kolegium, gdzie obok nauki łaciny nauka historii Węgier stała od najniższej klasy na miejscu pierwszym, spotkało się i połączyło przyjaźnią, nigdy już potem nierozwaną, trzech chłopców: Alexander Petrowicz, czyli Szandor Petöfi, Maurus (Maurycy) Jokay i Samuel Orlai. Każdy z nich miał już—według wyrażenia Jokaya, „jakąś namiętność.“ Orlai kochał poezją, Petöfi sztukę dramatyczną, Jokay marzył, aby zostać malarzem. Chłopcy mieszkali razem. „Tuż obok kolegium stał mały, biały domek, w domku była mała, biała izdebka, i tam miesciło się trzech zapaleńców marzycieli, dla których potem, gdy skrzydła im podrosły, świat cały był często za ciasny!“ pisze Jokay, malując w wesoło humorystyczny sposób, jak Orlai, potem znakomity malarz historyczny, pisał fantastyczno-romantyczny romans pełen duchów i tajemnic, jak Petöfi deklamował sceny teatralne, naśladowując sławnego podówczas tragika Egressy, a on sam malował piękne panny nie gorzej, niż szylidy nad sklepami. Zrobił raz olejno portret Petöfięgo, a gdy Orlai napisał do tego wiersz, który Petöfi wygłosił z zapalem, przyjaciele przysięgli sobie, że gdy po opuszczeniu ław szkolnych spotkają się kiedyś ze sobą, każdy z nich musi być—wielkim człowiekiem!...

Mara wielkości zjawiała się przecież przed tą młodością gorącą głównie z wielkiej miłości Węgier. Dla tego—to raczej niż dla siebie: dla węgierskiej ojczyzny swojej, ta trójka chłopiąt pragnęła wielkości i ztąd chęć działania na innych podno-

siła im piersi. Założyli towarzystwo literacko-naukowe i nazwali je *Towarzystwem kształcących*. Pieczęć przez miejscowego rytownika wykonana przedstawiała geniusz ulatujący ku górze, a choć głowa była większą od całej postaci, nie jej to nie szkodziło w oczach stowarzyszonych: widzieli tylko, że wzbija się wzwyż, i pewno, wyciągając ręce, wołano jak niegdyś młode głosy inne: „Młodości! podaj nam skrzydła, niech nad martwym wlecim światem!...“

Stowarzyszenie wybrało sobie jednego z profesorów na prezesa, był przytem i vice-prezes, byli członkowie honorowi, którym przysyłane podpieczętowane geniuszem dyplomy, były stałe posiedzenia, na których miewano mowy, czytano rozprawy i rozmaite utwory literackie, krytykowano je, a co uznano za godne szczególnego zaszczytu wpisywano w wielką księgę, która zachowała się szczęśliwie po dziś dzień i w której znajdują się pierwsze poezye Petöfi'ego. Towarzystwo zakupowało przytem książki i rozdawało członkom do czytania, co wszystko w niewielkim mieście musiało dojść do wiadomości ogółu, a że wszędzie są nienuki-dandysy i nienuki-prostaki, zaczęto wyszydzać te szlachetne porywy młode, zaczęto wyśmiewać entuzjastów i, pochwycawszy zreżymie słabą stronę rzeczy, przezwano: *Towarzystwo kształcących, Towarzystwem niedokształconych, niedowarzonych*, jak wyrażono-by się w naszym języku, co, naturalnie było, dla członków obrazą, przyjętą bardzo dotkliwie, i wojna zawrzała w mieście między uczniami kolegiium i młodzieżą miejską. Ze przepisy szkolne nie dozwalały uczniom bywać w zakładach publicznych pod karą pięciu guldenów za bytność w kawiarni, a dziesięciu groszy za bytność w piwiarni, te ostatnie miejsca stały się placem utareczek, i ztąd mniej dandysy, niż prostacy, „batory“ jak się wyraża Jokay, podejmowali rękawice,“ gdy nagle towarzystwo odniosło świetne zwycięstwo: nieznanemu nikomu poprzednio, niezaprotegowany przez nikogo wiersz Petöfi'ego został wydrukowanym w *Ateneum*, które redagował najwyższego uznania używający wtedy poeta, Vörösmarty.

Było to dla przeciwników towarzystwa coś niespodziewanie olśniewającego i przytłaczającego ich. Wówczas nie istniało tyle pism, i tylu piszących co dziś. *Ateneum* było na całe Węgry jedynym organem belletrystycznym, a redaktor jego najwyższym sędzią w tej dziedzinie i tam-to jeden z członków *Towarzystwa kształcących* drukował swoje utwory! Jokay opisuje wesoło, jak ludzie, spotykając się ze sobą na ulicy, rozmawiali o wypadku, który nietylko poetę, ale towarzystwo całe uczynił sławnym. Petöfi rzekł też wtedy, do przyjaciela z dumą, podnoszącą młode czoło: — Teraz ty powinienes póty nie spać, póki nie stworzysz czegoś... i przyjaciel postanowił nie spać. Do spółki z Petöfim napisał Jokay książkę, zatytułowaną: *Wiosna* a składającą się z jego powiastek i poezyi Petöfi'ego. Trzeci ich kolega, członek stowarzyszenia, widać bogacz większy od innych. Szandor Szentmihályi, wydał ją swoim kosztem. I rozkupiono ją w mieście, i *Kształcący* tryumfowali znowu, panowali opinii, choć Jokay pisze, że dziś, książka ta nie mogłaby być czytana bez śmiechu. „Jednak ja sam — dodaje — mam zawsze łzy w oczach, gdy ją do ręki wezmę. Och! co za szczęśliwi ludzie byliśmy wtedy!“

Ale miłość, nawet ideału, jeżeli tylko gorąca jest i namiętna, musi obok nektaru sączyć i gorycze. Petöfi'ego już poczęła rwać ten strumień życia, który unosi pewne natury. Zamiast do szkoły poczęła biegać do teatru na próby i w losie jego nastąpiła tragedia: wypędzono go z kolegiium a ojciec zamknął przed nim drzwi domu i przeklął go, matka zaś mogła tylko lać łzy bezskutecznie. Postąpienie było zbyt surowe, bo chłopiec miał dopiero rok piętnasty, ale były to czasy karności twardo pojmuwanej, ojciec chciał mieć syna prawnikiem: adwokatem, lub sędzią komitatowym, a przede wszystkim człowiekiem porządnym, człowiekiem uczciwym, i zakulisowe wycieczki wyroska wywołały w nim gniew srogi. Nie mógł przewidzieć geniuszu, który jest, jak kwiat aloesu, rzadko zakwitającą cudownością, a pragnął obowiązującej każdą istotę ludzką siły moralnej, która stoi przy obowiązku. Obowiązek musi być kotwicą każdego niezmarowanego życia ludz-

kiego i jakkolwiek postępki ojcowski sprowadził na biednego chłopca nawał prób i nędz najróżnorodniejszych, kto wie, czy nie właśnie tej surowej edukacji winien Petöfi rzecz ogromnej, najogromniejszej wagi: wyższą karność, wyższą wolę, moc ducha. Choć przygody życia jego są awanturnicze, nigdy on wśród tej pozornej cyganerii cyganem artystyczno-literackim rzeczywiście nie był.

I dlatego mógł się stać w końcu bohaterem: dlatego, że nie zużył się w sposób małogodny siebie, nie rozmarnował sił, nie zniżył swego moralnego poziomu, nie sprowadził na padół nizki ideałów swoich i utrzymał nazawsze dla aktów swego życia pieczęć z geniuszem skrzydlatym, zwracającym loty wzwyż.

Początek jego samodzielnej kariery musiał prawie nieuniknienie rozpocząć się od teatru. Pojmował on przez ideał to, co ojciec jego widział jedynie zarysowanem na odwrotnej stronie medalu i Melpomena była dla niego najwyżej nęcącą Muzą. Wcielać się w coraz to inne postaci bohaterów, coraz-to w nowej szacie poezyi przelewać w bijące wzruszeniem serca ludzkie poezyi tej słowo żywe i rozniecać w nich płomień zapału, wykrzesanemi przez siebie iskrami ognia!... wszystko to pociągało namiętnie gorącego chłopaka, choć niestety, praktyka sztuki nie odpowiedziała nadziejom i na tę scenę, gdzie inni cierpieli, kochali, leli łzy i przesywali się sztyletami, jemu kazano wnosić stoły i stolki.

Przytem nieborak nie posiadał żadnych środków utrzymania. Niemając za co nająć sobie mieszkania, sypiał za kulisami i Jokay szydzi wesoło, że ta świątynia sztuki nie bywa widać ciepłą w zimie, bo biedne dziecko marzło tam i dzwoniło zębami. Petöfi również żartował z przebytej biedy owego czasu, który jednak wspominać później lubił i opisywał, jak „sypiał na wieńcach różanych i okrywał się obłokami“. Lecz wtedy, gdy cierpieć było trzeba ten niedostatek, gdy nędza dogryzała zjadliwym swym zębem, zjęła go rozpacz. Dla chleba i dachu, dla okrycia grzbietu, wszedł do wojska, i to na prostego żołnierza, bo inaczej być nie mogło, gdy cały jego majątek składał się z Horacyusza, noszonego w patronatuszu i Szyllera ukrytego w czako, bo wtedy studyował właśnie tych dwóch poetów. Gdy szedł na wartę, zabierał ich w ten sposób ze sobą, aby nie zostawić w koszarach i chodząc tam i napowrót z bronią na ramieniu, deklamował wiersze. Mógł też wtedy złodziej zabrać mu spokojnie jego budkę odwachową, mógł być sam generał głównie-dowodzący przybyć na przegląd: on ani-by tego widział i nie pomyślał nawet o zaprezentowaniu broni. Raz kapral, przybywający dla zlu-zowania warty, zastał go czytającym książkę i nie mającym nawet bagneta na karabinie.

Zapomniał go zatknąć i gdyby kapitan, przed którego przyprowadzono biedaka, nie był dobrą duszą, a raczej szlachetnym człowiekiem, który umie też poznać się na wartości innych ludzi, byłby biedak przeszedł przez różgi. W chwilach poufnych wywnętrzeń, wszystko to opowiadał Petöfi kolegom, ale na jedno tylko skarżył się i nazywał rzeczą przykrą: odmiatanie zimą śniegu z podwórza koszarowego. Musiał używać najpierw szufli, aby śnieg na kupy zgarniać, a potem dopiero miotły, co byłby chętnie odstąpił komu innemu, gdyby było można.

Pierwsze rzemiosło życia było twarde i hartowało — zahartowało też duszę młodzieńca na czy-sty brylant poezyi i bohaterstwa.

Do ciekawych rzeczy należy, jak różne postacie towarzyszy jego, biednych prostaczków-szeregowców, odbiły się w wyobraźni i przechowały w pamięci poety. Zpośród setek tych ludzi, którzy go otaczali, niektóre osobistości wystąpiły w tak oryginalnych rysach, że wytworzyły obrazy niepospolite. Były komiczne, ale były i tragiczne, tragiczne nawet bardzo i aż do zadziwienia. Czy jednak dzieje się tak tylko wśród węgierskiego ludu? Jokay żałuje bardzo, że Petöfi wspomnień swoich w tym zakresie nie przelał na papier i sam przytacza kilka szczegółów zapamiętanych z jego opowieści. Naprzykład miał on raz kolegę i nawet towarzysza sypialni, bardzo smutnego. Wzięto go do wojska na zwykłych prawach poboru, lecz nie stan żołnierski był mu szczególniej niemiłym.

Nie, chętnie nawet byłby służył, ale lękał się rzeczy jednej: zostawił w wiosce swojej kochaną dziewczynę i ogarniała go często trwoga, czy nie znudzi jej się czekać na niego i czy nie wyjdzie za mąż, zanim on powróci? Nie mógł sypiać po nocach i wyglądał bardzo mizernie. Od rana do wieczora wyglądał listów z domu, ale nie przychodziły; kolledzy żartowali też z niego, śpiewali mu na pociechę starą piosenkę: „Co krzak, to malina; co krok, to dziewczyna!“... ale on nie umiał pocieszać się w ten sposób, gdy naraz przyszedł rozkaz wymarszu dla zmiany kwatery. Droga nie była daleką i gdy wyruszone, gdy pięknym jesiennym dniem wydostano się z miasta na pole, na wsie, ów mizerek smutny stał się nagle niezmiernie wesołym. Zdawało się, że upił się powietrzem, widokiem, który go otaczał i tak dociągnięto do miejsca, gdzie zatrzymano się na chwilę wytchnieniem. Było to na drodze, ocienionej przez wielki sad śliwkowy i winnicę, a że czas był właśnie dojrzewania śliwek, tamten oddaje naraz Petöfi'emu broń swoją do potrzymania i powiada, że pójdzie zobaczyć: czy już dojrzały? Poszedł i nie wracał, choć już zatrąbiono na znak ruszenia dalej, gdy nagle sadownik wypada do majora ze skargą, że żołnierz zakra dł mu się w gąszcz i kra-dnie śliwki. Podofficer, wysłany po smiałka, znalazł go rzeczywiście we wskazanym miejscu, tylko, że biedak nie rwał owoców zwieszającego się z gałęzi, ale sam zawiął na niej.

Czy jakie wspomnienie wiązało się dla tego biednego, kochającego serca z chwilą dojrzewania śliwek; czy tęsknota, spotęgowana przez krajobraz wioski, wzięła nagle górę nad rozumem i uczyniła życie w koszarach obmierzłym? — Petöfi nie wiedział.

Petöfi z historii owych czasów zapamiętał snadź najtragiczniejsze, bo takie opowiadał przeważnie, i Jokay zapisał we wspomnieniach o nim jeszcze dwa wypadki okrutne. Jeden był też samobójstwem. Także towarzysz sypialni Petöfi'ego, spokojny, łagodny chłopak, wykroczył coś przeciw przepisom i wskutek tego wezwano go przed sąd pułkowy; że jednak przewinienie było małoznaczne, kolledzy śmieli się, gdy obwiniony żegnał się z nimi, jakgdyby nie miał ich nigdy już zobaczyć. — Posiedzisz kilka dni w kozie — mówiono żartobliwie, lecz on potrząsał głową. Sąd zasiadł na drugim piętrze, mieszkanie żołnierzy było na pierwszym i gdy wkrótce potem Petöfi, właśnie myśląc o towarzyszu, wychylił się z okna na podwórze z fajką w ustach, nagle z górnego okna pobok wyleciał, jakgdyby uniform żołnierski. Lecz nie — był to żołnierz, który skazany, jak przewidywano na zamknięcie w kozie przy odwachu, cisnął się z drugiego piętra i zabił. Petöfi widział jeszcze, jak leżąc już na bruku podwórza, ręce ku górze podniósł.

Jednego biedaka zastrzelono. Miał kochankę i wykrał się nocą z ko szar, za co szedł często na odwach, czemu poddał się bardzo spokojnie, jak konieczności nieuniknionej i nazajutrz po wypuszczeniu z kozy dopuszczał się znów przewinienia. Przecież raz chciał się tak wkraść z powrotem, aby go nikt nie widział, ale szyldwach dostrzegł, gdy się pod murem czał. — Zawołał: — Kto idzie? — a gdy tamten poczęł uciekać, młody, mało doświadczony rekrut, postępując według regulaminu, strzelił — i położył go trupem na miejscu. „Za pocałunek dał życie młode“ — mówił Petöfi.

Ale wśród tego, kilkutyśięcznego tłumu ludzi, sprzężonych razem przez kaprys przypadku, znajdował się jeden, który choć tak prosty, jak inni, stał się jednak Petöfi'emu drogim rzeczywistym, stał się jego prawdziwym przyjacielem, z którym nietylko łałał chleb, ale dzielił się i uczuciami. Gdzie się podział, co się z nim stało? Jokay nie wie. Petöfi, którego najpiękniejsze poezye, były tak, jak Heinego, malowaniem prawdziwych zdarzeń i uczuć jego osobistych, opiewał tego przyjaciela młodości i przysyłał mu w dal najtkliwsze błogosławieństwa. Czy mu przyniosły szczęście w jego doli nieznaney nikomu, gdy nazwisko jego przyjaciela stało się sławnym i jak świat wielki głośnem? On sam nazywał się Wilhelm Kuppis.

OSTATNI FIGIEL

PANA WOJSZCZYCA

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dokończenie).

Była to woda na młyn Wojszczyca, który, trzeba wiedzieć, miał grubą pretensją do p. Fabiusza: nie lubił go za to, że ani rusz z nim, nie wiedzieć z której strony go było napocząć. Powaga, wiejąca od niego i wzbudzająca mimowolny szacunek, była tarczą, od której odskakiwały pociski powiatowego chochlika... aż tu naraz znalazło się słabe miejsce, w które mógł go ugodzić. Sposobność tę pochwylił w lot.

— Niech się nie puszy, niech nie zadziera nosa — mówił do siebie — Co mi za matador! pan Fabiusz! wielka figura! potemek Fabiuszów rzymskich! jakgdyby to nie wiadano, że jego rodzony dziadek herr Fabius przywłókł się w pluderkach i z harbajtlem za Prusaków w 1795 i był jakimś aktuaryszem! Czego tu dąć?

Faktem jednak było, że p. Fabiusz nie dał, chociaż miał z czego, bo tak zawsze się składało, że na wszystkie godności wymagające zaufania publicznego szlachta wybierała, nie kogo innego, tylko jego. Wojszczyca, jeżeli był kiedy kandydatem, upadał zawsze, albo jakże go było brać serio? Zdawało się, że posadzony na sędziowskim krześle prędzej-by pomyślał o jakim dobrym żarcie, niż o wymierzeniu sprawiedliwości. Jakoś ten jego humor nie licował z powagą urzędu.

Wojszczyca, aby tylko zemścić się, dokuczył panu Fabiuszowi, ośmieszyć go, z otwartymi rękoma przyjął p. Floryana, gdy ten mu się zwierzył, że myśli wykraść pannę Fabiuszównę. Postanowił pomagać mu w tem przedsięwzięciu, ciesząc się naprzód z efektu, jaki wywoła zręczne przyprowadzenie go do skutku i odradzając najgoręcej wszelkie kroki mogące załatwić rzecz zgodnie. A nużby p. Fabiusz przystał na oddanie córki dobrowolnie? Niechże Bóg bron!

Skutkiem tego, po częstych i długich naradach, dla których p. Floryan przesiadywał niemal ciągle w domu Wojszczyca, po omysleniu wszelkich, jakie się dało, środków ostrożności i zabezpieczeniu się przeciw możliwym przeszkodom i interwencyom, dzień i godzina na spełnienie zamachu zostały nareszcie postanowione.

W oznaczonym terminie, bardzo ciemnym wieczorem, Wojszczyca kazał zaprząć cztery konie do powozu, a parę do nejtyczanki. Powóz wyprawił naprzód, nakazawszy woźnicy czekać w oznaczonym miejscu, a mianowicie poza wsią i ogrodem p. Fabiusza, dokąd p. Floryan miał przyprowadzić pannę Maryannę, oraz dawszy mu instrukcyę, jak ma zrobić, sam zaś w jakie pół godziny potem wsiadł do nejtyczanki i inną drogą, manowcami puścił się do wsi, w której był kościół i parafia wspólna Fabiuszów i p. Floryana.

Miał dobrą miłą do przebycia, a że pod jesienną porą droga była szkaradna, więc był czas do rozmysłań i do konwersacyi z samym sobą.

— Ha, ha, ha! to mi się udało... będą mówić o tem na dziesięć mil wokoło.

— Ale pytanie, jak to będą uważać, — szepnęło mu coś, — jakież ty masz prawo mieszać się do czyich spraw familijnych?

— Takie, jakie ma każdy człowiek z sercem, gdy może spełnić dobry uczynek.

— Hm! córka idzie wbrew woli ojca, buntuje się przeciw jego władzy.

— Dlaczegoż ją tyranizuje? Sercu nie można rozkazać. Wytlómaczyłem to Floryanowi, który ni ztąd ni zowąd zaczął mieć jakieś skrupuły... Tchórzem podszyty! Otóż to młodzież dzisiejsza!

— A cóżbyś powiedział, gdyby się coś podobnego zdarzyło twojej Maryni?

— To wcale co innego. Fabiusz nie ma słuszne-

go powodu do opierania się. Floryan, choć goły, ale familiant, robi im zaszczyt... do tego, mówiąc między nami, panna brzydka, nie wiem gdzieby znalazła kogoś lepszego.

— To wszystko nie usprawiedliwia twojego mieszkania się w tę sprawę.

— To niech sobie mnie nie lekceważy, nie bagatelizuje. Dam ja mu zadzierać nosa! spokojnie jegomość.

— Więc to osobistość! a gdyby też przyszło tłómaczyć się z tego na sądowej drodze?

— On-by mnie miał pozywać? tego głupstwa przecie nie robi; na to chyba, żeby się sam zbłąznował, żeby się sprawa rozmazała... i czegożby mi dowiódł? że moim ekwipażem uciekli? Alboż ja wiem, na co go odemnie pożyczyl? A zresztą co to gadać: jak wojna, to wojna, podstępny uchodzą, mógł się pilnować i nie wpuszczać do domu byle kogo. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Dlaczego ja o moję Marynię jestem spokojny?

W ten sposób forytując swoją sprawę przed trybunałem własnego sumienia, ani się spostrzegł, kiedy stanął przed kościołem. Obejrzał się: wśród pomroki nocnej nie dojrzał nic, coby podobnym było do powozu: więc widać państwo młodzi jeszcze nie przybyli. Z okien kościoła biło słabe światło. Zajął ukradkiem do kruchty i zobaczył kościelnego dziada, zapalającego świece przed ołtarzem; na boku klęczała jakaś baba; więcej nie było nikogo.

Wrócił na cmentarz, nasłuchując. Może za jaki kwadrans dał się słyszeć turkot powozu, który ustał opodal. Wojszczyca pośpieszył w tę stronę: zobaczył powóz, z którego wyskoczył już Floryan, a za nim schodziła wolno panna Maryanna, otulona i zakapturzona; więc zbliżył się, by jej pomódz wysiąść, a gdy podał jej rękę, uczył jak za jej dotknięciem zdrząła całym ciałem... nie dziwnego! Rzuciwszy okiem do powozu, dostrzegł tam jeszcze jakąś postać zasuniętą w kącik. Wojszczyca domyślał się, że to jaka zaufana pokojówka panny Maryanny lub coś podobnego. Ta tajemnicza osoba wcale nie wysiadła.

We troje więc udali się do kościoła. Zaledwie się tam znaleźli, z zakrystyi wyszedł ksiądz, już ubrany, i stanął przed ołtarzem.

Wojszczyca chciał się cofnąć, żeby nie być widzianym, ale nim się opatrzył, panna Maryanna nagłym ruchem zsunęła mu się do kolan i pochwyciwszy jego rękę, gorączkowo przycisnęła do ust.

— Do diabła, — pomyślał sobie, — czy chceżebym zastąpił jej ojca i pobłogosławił? Trzeba było mi zostać na cmentarzu.

Pomimo to, jakiś rozrzuwiony, nie zdając sobie sprawy z tego, co doznaje, pocałował pannę młodą w głowę a raczej w kaptur, i szepnąwszy: „Odważy! wszystko będzie dobrze“, poprowadził ją do ołtarza.

Ceremonia zaczęła się bezzwłocznie. Ksiądz odezwał się jak zwykle, do pana młodego:

— Floryanie, czy chcesz tę oto Maryję wziąć sobie za małżonkę?

— Chcę, — odrzekł Floryan.

Potem do panny Fabiuszówny:

— A ty, Maryo, czy masz dobrą i nieprzymuszoną wolę wziąć go za męża?

— Mam, — odszepnęła cichuteńko panna Maryanna.

Po benedykcyi, nim organista zdążył rozpuścić wszystkie miechy w organach dla zaintonowania „Veni Creator“, ksiądz rzekł:

— Was tu obecnych biorę na świadków, jako to małżeństwo prawnie zawartem zostało.

Wymawiając te słowa, ksiądz zwrócił się głównie do Wojszczyca, co tenże uznał za mniej potrzebne, ponieważ byli oprócz niego dziad i baba.

Ale stało się.

Państwo młodzi wyszli spiesznie z kościoła. P. Wojszczyca poprowadził p. Maryannę, już teraz panią Floryanową, do powozu. Gdy ją wsadzał, miała miejsce tasama scena, co w kościele: chwyciła jego rękę i ucałowała gorąco, poczem szybko rzuciła się w głąb powozu, tuląc się do boku tajemniczej postaci, którą już poprzednio zauważył był Wojszczyca. Za żoną wskoczył p. Floryan, usiadł na przodzie (co Wojszczyca zastanowiło) i powóz ruszył z kopyta.

Pan Wojszczyca został sam, łamiąc sobie głowę

nad tajemnicą kryjącą się w głębi jego własnego powozu. Kto tam taki siedział, że Floryan ustąpił mu miejsca? Przecie, gdyby to była pokojówka, toby nie siadał na przodzie.

Nie rozwiązawszy tej zagadki, powrócił do domu; a że to już była godzina dosyć późna i wszystko w domu już spało, przeto nie budząc nikogo, napiwszy się tylko wódki i zakąsiwszy tem, co miał pod ręką, położył się spać.

Spał smaczno. Na pozór nie to dziwnego, bo zwykle tak bywało, ale dziś wyjątkowo powinien był mieć sen niespokojny, jeżeli prawdą jest, że istnieją przeczucia. Wielu utrzymuje, że to jest faktem i popiera swoje twierdzenie przykładami. My natomiast moglibyśmy przytoczyć tysiące innych przykładów zbijających to mniemanie. Iluż to ludzi z najswobodniejszym umysłem, w najlepszym w świecie humorze udaje się na spoczynek... wieczny: zasypiają, marząc o jutrze na to, żeby się więcej nie obudzić. Niejeden z piosnką na ustach śpieszy wprost naprzeciwko czyhającej nań katastrofy, grożącej, jeżeli nie śmiercią, to kalectwem, albo zabijającej moralnie.

Pan Wojszczyca zasnął bez żadnych złych przeczuć i w takim też usposobieniu ocknął się nad ranem. O tej godzinie zwykle wchodził do jego pokoju służący, niosąc mu kawę do łózka. Dziś spóźnił się o jakie pół godziny, ale, co dziwniejsza: zamiast kawy niósł tylko na żelaznej łopacie węgle przeznaczone do rozpalania w piecu.

— A kawa? — zapytał Wojszczyca.

— Na kawę jeszcze się muchy nie gonia, — odrzekł Marcin, przezwany przez pana Mrukiem.

— A to dlaczego?

— Panna Łowczanka pozabierała klucze od wszystkiego. Gospodyni o mało głowa nie pęknie, wszystko pozamykane — nie mieli w co mleka precedzić.

— A gdzież Łowczanka?

— Abo to pan nie wie? Została z nimi. Wojciech wrócił nad ranem sam.

Wojciech był to woźnica, który wysłany był naprzód z powozem i odwiózł państwa młodych po ślubie.

P. Wojszczyca oniemiał: smutna prawda, niby błyskawicą, oświeciła jego umysł. Chciał się spytać o Marynię, ale nie śmiał. Bał się odrazu dowiedzieć wszystkiego.

Mruk sam gadał, dmuchając w piecu.

— Zły jest okrutnie, bo dostał tylko rubla, a spodziewał się przynajmniej trzech. A co tu było wczoraj termedyj na odjeździe! pan Floryan prosił świętymi słowy — (słyszałem bezdrzwi), — panna Łowczanka tak im tam coś dowodziła, że się rozlegało po całym domu. Nareszcie powiedziała: „Róbcie sobie, co chcecie, ale ja tu nie zostanę za żadne skarby“. I pojechali wszystko troje. Jakże będzie z kawą? czy pan nie ma tu gdzie u siebie cukru?

Akurat panu Wojszczycowi był teraz cukier w głowie! Zamiast odpowiedzi, krzyknął na Mruka, żeby się wynosił za drzwi, i to takim tonem, że ten wyszedł jak zmyty.

— Zawołam sam, jak będę chciał. Ani mi się waży tu wchodzić!

Wojszczyca został sam, przybity, zgnębiony.

Więc Floryan wykrał Marynię! On sam, Wojszczyca, stryj i opiekun, był świadkiem ślubu i własnym powozem odesłał synowicę mężowi! Więc ta postać tajemnicza, ukryta w głębi powozu, to była Łowczanka! I on jej nie przeczuł, nie domyślił się!

To go upokarzało, narażało na śmiech i drwiny, przybijało do ziemi. Czy zasługiwał na współczucie? nie śmiał się ludzi pod tym względem. Padał ofiarą broni, którą sam wojował. Cios wymierzyła ta ręka, którą on sam zaprawiał do czynu. Uczeń przeszedł mistrza.

W głowie mu się mieszało. Co robić? jak to przyjąć? Wyprawić sceny, wybuchnąć gniewem nie miał prawa: wszakże sam wypowiedział swoje zapatrywanie się, gdy przykładał rękę do wykradzenia panny Fabiuszówny.

Więc przyjął to śmiechem, jako dobry żart?

Bądź cobądź, stało się już. Dlaczegoż Floryan nie mógł być dobrym mężem, Marynia z nim szczęśliwą? Nic nie dowodziło w stanowczy spo-

sób przeciwnie. Więc rozum radził pogodzić się z faktem spełnionym; ale jak się przyznać do haniebnej porażki? jak się zachować? widział już drwiące uśmiechy, dwuznaczne słówka, których nie miał czem odeprzeć.

Zapomniał o tem, że jest naczecz. Wstał, ale nie wyszedł krokiem z pokoju. W południe wypił zaledwie filiżankę bulionu. Na wieczór dostał gorączki i bólu głowy, co przypisywał przeziębieniu się w kościele. Na drugi dzień było jeszcze gorzej, a na trzeci przy jego łóżku siedziała zapłakana Marynia, którą kazał potajemnie zawiadomić o niebezpieczeństwie.

Gorączkę miał, to prawda, ale nie tak znów wielką: dyplomacya kazała mu udawać malignę. Ten pomysł, jako wyjście z kłopotliwego położenia, wydał mu się tak świetnym, że postanowił wyzyskać go, ile się tylko da. Więc bredził tak, że Marynia zanosila się od płaczu: pocziwy stryjaski! Wprawdzie nie mogła zmiarkować: czy wiedział odrazu o wszystkim i chciał tylko zabawić się ich kosztem, czy też nie, ale miała jasny dowód, że dla jej Floryana był jaknajprzychylniej usposobionym, i że byłoby się wszystko zrobiło prostą drogą, gdyby byli mu padli do nóg i wyznali wzajemną skłonność. Następnym tych gorączkowych zwierzeń było, że, nim Wojszczyz wyszedł z niebezpieczeństwa, przy łożu jego obok Maryni stał już i Floryan.

Sprawa więc była uporządkowaną, skandal żegnany, wzajemny stosunek zawiązany, ale po wyjściu z choroby Wojszczyz, uratowany jak się dało, honor, o którego całość był w obawie, zamknął się w sobie. Na mocy tego, z czem się wygadał w malignie, wolno było robić przypuszczenia o nieprzebranych skarbach czułości zawartych w jego sercu; ale na jawie powinien był (tak sobie powiedział) okazać się, i okazał się też opiekunem surowym, mężem drażliwym na wszystko, co mogło zaczepić o jego honor i godność: słowem, pamiętnym urazy. Więc pozwalał się nosić na rękach, ale żadnym słówkiem nie wolno było robić aluzji do okoliczności, które w tak dziwny sposób z Maryni zrobiły panią Floryanową.

Na takiej stopie to pozostało, i byłoby pół biedy, gdyby nie to, że Wojszczyz stracił całkiem humor i fantazyę; jako genialny niegdyś twórca tyłu facecyj i figłów, czuł się nazawsze splamionym i niegodnym już więcej wystąpić na dawne pole działania. Przeszedł mieć wiarę w siebie: to go trulo.

Wynagradzał to sobie w części dokuczaniem Łowczance, której nie mógł darować, że jej owego pamiętnego wieczoru nie poznał. Mściwość jego i znęcanie się nad Bogu ducha winną istotą doszły do tego stopnia, że nieszczęsna stara panna musiała sobie poszukać innej rezydencyi.

Była to, acz najniewinniejsza, jedyna — nie rachując, naturalnie, samego p. Wojszczyca — ofiara ostatniego jego figla.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Piękna, dramat w 4-ach aktach, Wł. Okońskiego, przedstawiony poraz pierwszy na scenie Teatru Rozmaitości, d. 25 Października r. b.; *Na wsi*, komedia w 4 aktach, Leopolda Świdzkiego, przedstawiona w Teatrze Małym.

(Dokończenie).

Piękna kobieta p. Świętochowskiego nie jest wcale podobną do pięknych kobiet dramaturgii francuzkiej, do *Kobiet z kamienia*, *Dalili* i całego stada tych nietoperzy, w których demon złego walczy o lepsze z Piękną Heleną Parysovą. Umyslnie dla pokazania nieuchronności danego przeznaczenia autor nadał swej bohaterce bierność jaknajwiększą, treść etycznie jaknajneutralniejszą, temperament jaknajslabszy. Takie działanie z rozumem nie jest tylko domniemaniem naszym: przyznaje się do niego sam autor przez usta bohaterki Emilii Bosławskiej i mentora sztuki, Zenona. Emilia jest względnie bardzo dobrą i bardzo niewinną, ale sama już piękność wystarcza jej do roz-

noszenia złego po świecie. Ta dobra stosunkowo, ale piękna kobieta gromadzi naokoło siebie różnorodnych mężczyzn, rozkochuje w sobie nawet starego moralistę i powieściopisarza — gatunek najzimniejszy z całego *genus humanum* — powoduje zrywanie najświętszych węzłów, miazdzy charaktery mężkie, a kobiecym szepcze samobójcze: *exitus patet!* Dla danego założenia ta wątpliwość i bladłość Emilii, jako ogniska złego, jest odpowiednio dobraną; i to również p. Świętochowski mądrze obmyślił, że Emilia, tyle upadków naokoło siebie wywołująca, sama przed upadkiem się wstrzymuje. Autor działał tu widocznie, tak jakgdyby mówił słuchaczowi: „Nie wierzysz, że teza moja, wygłoszona przez usta Zenona w akcie II, jest prawdziwą: oto ci daję najlepszy okaz z danego typu; patrz, co się stać będzie musiało“. Tak jest: czystość i pewna posagowość w rysunku Emilii, potrzebną była dla tem lepszego dowiedzenia prawdy, ale ponieważ sztuka dramatyczna nie jest ani professorem, ani retorem, trzeba więc postawić sobie pytanie: czy styl użyty przez p. Świętochowskiego do narysowania głównej postaci nie obniżył dramatyczności jej charakteru? Odpowiedź wypada twierdząco, i słuchacz, nieoszolomiony wrzawą metafor, niezalany potokiem pięknie, malowniczo dobranych słów, widzi po ostatnim zapadnięciu kurtyny, że ta *Piękna* jest tylko abstrakcją, tezą obyczajową, ubraną ale nie istotą żywą. Abstrakcyjność Piękną doskonale nam się przejawia w sposobie, jakim autor wywołał najpierw zgodzenie się jej na schadzke z młodym Bogojem, a potem porzucenie zamiaru porozmowie z moralizatorem Zenonem: namiętności prawdziwej, serca w tem wszystkim niema. Na krótką tylko chwilę przedtem w rozmowie ze służącą, w akcie IV, błyska nadzieja usłyszenia serdecznego głosu; ale p. Świętochowski przeląkł się tego błysku i światło czempredzej zgasił. Ostatnie sądy o jego Piękną wypada tak, że nie jest to istota ani gorąca ani zimna, ani zła ani dobra, ani jasna ani ciemna: jest to istota przedewszystkiem nieżywa, a to jedno czyni już wszelkie dalsze dociekania zbytecznymi.

Inne postaci: Ireney, siostry Zygmunta, męża Piękną; Henryka, jej narzeczonego; Zenona, wujka poprzedniego, są tak samo ułomne, jak i bohaterka dramatu: cierpią na abstrakcyjność. Autor potrzebował dla lepszego uwydatnienia swej tezy postawić obok Piękną Brzydką i stworzył Ireney. Miał z nią niemały kłopot; wprost nie wiedział co zrobić z nią w akcie I, kiedy jej z Zenonem w głębi ogrodu zimowego, czy oranżeryi, zasiąść nakazuje; a w akcie II nie znalazł innego momentu dramatyczności nad samobójstwo. Gdyby ta Ireney zabijała się — strzałą indyjską, zrobioną przez botanika *ad hoc*, pocziwego p. Zygmunta — z boleści czystej, z rozpacz, że jest opuszczoną, z zazdrości, że Emilią lepiej od niej kochają, nie mielibyśmy nie przeciwko naruszeniu przepisów, zakazujących targać się na swe życie: sztuka nie jest ślimaczeniem się życiowem, życie filisterskie przeciętnego chrześcijanina nie może być życiem idealnych postaci sztuki. Ale Ireney godzi na swe życie z powodu tego, co jej Zenon — bardzo mądry mędrzec, powiedział o brzydocie: no, to już czysta abstrakcja. Spytajmy się samych kobiet: ile pomiędzy nimi znajdzie się takich, któreby poszły za wskazówką daną przez mędrca sztuki? Nie znajdzie się ani jedna: owszem, każda powie sobie: „Dobrze! Nie będę miała tak pięknego i bogatego, jak tamta piękna poczwara, ale jakiegokolwiekbaż mieć mogę“. Niema tak brzydkiej, któraby miłości nie znalazła; niema tak brzydkiej, któraby abdykowała z prawa do szczęścia przez miłość. I Quasimodo przecież chce być kochanym, a potrzeba miłości w kobiecie jest dzie sięćkroć silniejszą niż w mężczyźnie. Też, że brzydkiej zostaje tylko samobójstwo, prosty zdrowy rozsądek uznaje za zupełnie fałszywą; Ireney zatem jest nie tylko abstrakcją, ale abstrakcją błędną.

Czy w jednym mężczyźnie da się pomieścić tyle różnorodnych kształtów i barw życia duchowego, ile ich p. Świętochowski w Henryku nagromadził? O tem wątpimy. Najnieprawdziwszym rysem jego charakteru jest niegodziwe rzucenie Ireney w twarz

jej brzydoty: żaden mężczyzna na nazwę tę zasługujący, a jeszcze do tego narzeczoney, nie użyje takiego argumentu do zerwania łańcucha, który go z daną kobietą związał. Mężczyzna będzie rozbójnikiem, albo tchórzem; nie będzie w taki sposób, w takim stosunku, cynikiem jak Henryk. Cóż to za argument? Wszak nie dziś dopiero dostał oczy; widział, co kocha. Może mu ta brzydota posłużyć wobec świata, wobec towarzyszy, ale nie posłuży wobec samej zdradzonej. Największy niegodziwiec będzie miał jeszcze delikatność zamilezenia rzeczywistego powodu: Henryk wcale jej nie miał, bo autor potrzebował jego grubiaństwa dla swojej tezy. Ciągłe ta nieszczęsna teza!

Od potrzeby wykazywania abstrakcyjności Zenona, przypominającego Degénais'ów, Tolosanów i innych, czytelnik chyba nas uwolni, jeżeli nie zechce uwolnić sam autor. Jeden rys tylko w tym powieściopisarzu: odurzenie się Emilią, jest ludzkim, żywym, wszakże inne trąci bibulą i masą drukarską. Jeżeli każdemu dostał się mały tobolek, to Zenonowi włożył autor na plecy ogromny tłumok z myślami, z nowymi ideami swymi. Idzie człowieczyna i dźwiga — i przesuwa się jak cień przez sztukę, niczem do siebie nie przywiązawszy widza.

Najwięcej życia mają w sobie: Teresa Dąbek, garbarka, młody Bogój Ryszard i służąca Helena. Bogój ojciec, Dąbek brat, nazywany „dukatem“, zbyt mało znaczą w sztuce, aby się nad nimi zastanawiać było warto. Panna Dąbek — tak chce autor — narzeczone Bogoją, niewyobrażająca żadnej tendencji autorskiej, lecz wyobrażająca dobrze swoją własną, jest najdramatyczniejszą, ale zarazem najwstrętniejszą, postacią sztuki. Bogój syn byłby dobrym, gdyby nie to, że go autor w dziecinną ową sprawę z ogrodem botanicznym uwikłał; że mu jak młodzieńcowi rozkwitającemu dopiero do życia przemawiać każe w scenie aktu III z Emilią; że wreszcie odebrał mu wszelkie uczucie choćby pozornego honoru wobec siostry „dukata“. Helena jest prawdziwą, szczerą dziewczyną z tego ludu, który, otarłszy się o cywilizację, z nienajlepszej jej strony, uległ zepsuciu.

Oto galeria wspomniana wyżej; nie zaliczamy do niej tych postaci, które przez swoją siłę żywotną same wytwarzają dla siebie wyjątek. Ale wszyscy ci ludzie utworu p. Świętochowskiego, dramatyczni, czy nie, są ludźmi bez serca, bez treści i wykładnika etycznego. Objektywizm autora udzielił się wszystkim jego postaciom z wyjątkiem Ireney: niema w nich zmysłu moralnego. Jedno nie stoi wcale o moralną wartość drugiego i samo też własną swoją się nie zaprzęta. Cynizm Henryka i Ryszarda, świadczący o rodzie męzkim, ma pożądaną dla siebie równowagę w cynizmie Teresy, z którą nie wiemy nawet kogoby porównać można z pomiędzy powszechniej znanych wytworów sztuki dramatycznej. Chcieliśmy ludzi, mamy tylko mózgi chodzące, systemata nerwowe mniej lub więcej wzburzone i ukojenia żadne, ale nawet nienamiętne. W jednej Ireney drga struna uczucia, ale za słabo, aby przy ogólnej abstrakcyjności pomysłu, postać jej żywo i sympatycznie przed umysł nasz wystąpić mogła. Najsilniej przywiązuje do siebie, że swą mądrością na badaniu przyrody opartą i ze zwierząt na ludzi przeniesioną, naturalista Zygmunt. Autor kazał mu oko patrzące na żonę przymrużyć, ale takim okiem przecież Zygmunt widzi wszystko, co się w domu jego święci; wszakże z wyrozumiałością mędrca i spokojem człowieka, który wiedzę swoją stawia nad ukochaniem swoim — na chwilę nawet z równowagi umysłowej nie wychodzi. Żywotności tacy ludzie mieć nie mogą, ale mają pobaw przez swój spokój i czystość. Jak w Ireney tak i w tym człowieku domysłamy się serca prwego.

Owa czczość etyczna w postaciach *Piękną*, owa neutralność wobec złego i dobrego, przypominająca temat *Niewinnych*, jest grzechem przeciwko naturze. Natura sama skłania nas do tego, żebyśmy wzajemnie wytwarzali sobie o moralnej wartości swojej wyobrażenia, sprawiedliwe lub nie, uprzedzenia pochlebne lub krzywdzące, ale w każdym razie jakieś opinie i poczucia dające dowód, że człowiek na pewnym stopniu cywiliza-

cyi, choćby sam moralnym nie był, stanowiska moralności omijać nie może, i owszem musi instynktownie ku niemu się zwracać. W dramacie p. Świętochowskiego stanowisko to nie istnieje, a ztąd i dramat niema prawdy niezbędnej do życia.

Prawdziwie potworną jest owa neutralność wobec etyki, a fałsz wobec natury, w dwóch ostatnich aktach dramatu. Oto umarła samobójczo tragicznie, ofiara niegodziwości i nieroztropności ludzkiej, istota, która, należąc do pewnego grona rodzinnego i towarzyskiego, nagle wyrwana z niego została: czyż podobna przypuścić, aby po jej tak niespodziewanem zniknięciu, w okolicznościach tak wymownych, łamiących nawet mało uczuciowe natury, najbliżsi jej ani jednym drgnieniem nie odczuli straty; aby w parę miesięcy, a może i w parę tygodni, po samobójstwie, nikt nawet najbliższemu słowem pamięci jej nie wskrzesił, aby się nie zmieniło nic w stosunkach ludzkich, aby nikt z otoczenia nie spostrzegł nawet, że zostało jedno miejsce puste przy ognisku domowym? Nie chcemy tego, żeby się żywi zabijali po umarłych; ale takiej obojętności, jaką wymyślił p. Świętochowski, niemożemy sobie w żaden sposób wyobrazić w życiu rzeczywistym i uważamy ją wręcz za przeciwną naturze ludzkiej. Uczuciowość w stosunkach potocznych nie jest ani bohaterstwem, ani wielkością, ani zbawieniem; nie jest też niczem nadzwyczajnym: owszem, stanowi pospolitą bardzo i powszechną potrzebę człowieka żyjącego zbiorowo. Gdzie p. Świętochowski widział takie osobniki i taką gromadę ludzką, na jaką nam w *Pięknej* patrzeć kazał?

Potęga i przepych stylu: to królewski plaszc pisarza. Nikt może wyżej od nas takiej zdolności nie cenil, nikt jej szczerzej i sumienniej w p. Świętochowskim od początku jego działalności nie uznawał. Ale styl taki dla dramatu jest ową matką przez zbytnią gorączkowość w miłości dusząca swe dzieci. U p. Świętochowskiego wszyscy ludzie jednakowo się wysławiają; wszyscy mówią jednym językiem, jednorodnych używają metafor, jednostajnie budują z wyrazów zdania, a ze zdań okresy. Jeden stopień siły, jeden rysunek i jeden koloryt — służą dla wszystkich; podczas gdy dramaturg prawdziwy wie, że, jak w naturze niema dwóch liści podobnych, jak w królestwie człowieczem niema dwóch podobnych do siebie charakterów, tak też w sztuce nie powinno być jednostajnej mowy, jednostajnego sposobu wyrażania swych myśli, bo poza myślą i jej formą kryje się istota, a ta indywidualną być musi. Shakespeare ma nieskończenie poetyczniejsze mędrsze i bujniejsze metafory niż p. Świętochowski: a jednak nigdy niemi nie przygniata indywidualności swych ludzi i nie nuży widza, — co o autorze *Pięknej* z przykrością powiedzieć potrzeba. Ludzie, którzyby tak rozmawiali, jak rozmawiają ci znajomi nasi z nowego dramatu, musieliby we własnym interesie jaknajmniej mówić, jeżeliby żyć chcieli.

W stosunku do myśli przewodniej utworu, budowa jego pokazuje rękę jeszcze niewprawną, ale pokazuje zarazem i umysł, który, mając cel przed sobą wytknięty, umie do niego dążyć i docierać. W środkach tylko działania znać wiele naiwności, jakiejby talent rzeczywiste dramatyczny nigdy się nie dopuścił. Tak naiwnym jest ogród botaniczny i niezdarność Ryszarda wobec współzawodnika; naiwną jest ta strzała zatruta, dla której Zygmunt musiał koniecznie zostać botanikiem; naiwnie wygląda Zenon zabawiający się siedzeniem z Ireną w braku lepszego zajęcia; naiwnością trącą te weksle skupione przez pannę Dąbkównę i użyte jako taran przeciwko murom serca Ryszardowego; naiwną wreszcie nazwać musimy tę ospę, którą autor do dwójmowy Emilii z Haliną wtrącił. Akt pierwszy grzeszy niescenicznością, a drugi nią zalecić się nie może. Tych wszystkich zdroźności wszakże nie rzucę my na szalę sądu. Trud i cierpliwość, i dziecię ich, wprawa — przy takim talencie usuną zle.

Jest inna okoliczność, która nam nasuwa wątpliwość: czy p. Świętochowski będzie kiedykolwiek twórcą dramatycznym? — bo pisarzem już jest. Wskazaliśmy ją wyżej, w ogólnym poglądzie. Wątpimy, czy p. Świętochowski ma w sobie dość poetyczności, aby potęgę i wdzięk dramaty-

czności odczuwać, dość uczucia, aby w pierś człowieka zaglądać; czy jego własna indywidualność pozwoli żyć indywidualnościom jego sztuk, a artyzm będzie dość istotnym i silnym, aby postaci swoje kształtować od wewnątrz — od serca; czy wreszcie jego teorye filozoficzne o człowieku i moralności pozwolą mu mieć tę *wiarę w człowieka*, bez której w dramaturgii nie można nigdy być prawdziwym poetą, nigdy prawdziwym artystą? Sztuka nie wymaga bynajmniej dla siebie radykalizmu umysłowego; przeciwnie; niewielką ma z niego pociechę; a w sztuce dramatycznej to tylko żyje, co sercem, namiętnością żyje. Żadna estetyka nie wymyśli nic innego. Na mądrości, na tezy i dowodzenia są książki: od sztuki chcemy ludzi, którzyby kochali i nienawidzili, radowali się, cierpieli, ruszali i walczyli bez względu na to, czy rozumnie i potrzebnie to wszystko czynią, a żyli przytem życiem własnym, myśleli własnymi głowami, czuli sercami niepożyczanymi od nikogo. Postaci p. Świętochowskiego świecą światłem odbitem od autora; są satelitami jego umysłowości: i dlatego nie stoją silnie i nie żyją prawdziwie. Niech p. Świętochowski spróbuje napisać sztukę nietendycyjną: będzie to istotna już próba jego talentu.

Mało sztuk wystawiono u nas z taką starannością, jak *Piękną*. Dwie nowe dekoracje, meble okazałe, ubiory zdolne zachwycić nawet prawodawczynię mody, uscenicznienie dokładne i powabne: nic nie pozostawało do życzenia. O grze nie możemy tegosamego powiedzieć. Wszystkim brakło tej przewagi pierwiastku mózgowego, która w sztuce panuje. Nie tu ludzie nie robią bezwiednie, wszystko z rozmysłem; jedni na drugich urządzają zasadzki: i to właśnie w grze słabo się przebiło. Pani Ludowa była nawet na *Piękną* zamą ożywioną; pani Ładnowska mogła lepiej zażartość swą na Ryszarda i cynizm uwydatnić; panna Wiśniowska scenę przed samobójstwem dobrze obmyśliła i opracowała, a nie jej to już wina, że nie sprawiła wrażenia; musimy wszakże wytknąć artystce ustawiczne a niepowabne przeginanie postaci w tył: co to ma wyrażać? do czego służyć? Do niczego. Cofamy pierś, gdy albo duma złamać nam kogoś nakazuje, albo przestraszyć samych nas łamie: Irena ma scenę, w której musi szlachetną dumą byzgnąć w oczy Henrykowi; ale usposobienie takie nie trwa ciągle i owo łamanie postaci ciągle być nie potrzebuje. Królikowski w akcie IV starał się zindywidualizować abstrakcją Zenona i za to ma prawo do szczerzego uznania, zwłaszcza od autora, którego tym sposobem poprawił. P. Rapacki dobrze oddał mądrość i spokój naturalisty, do czego mu dopomogło ucharakteryzowanie się przepyszne; ale i w nim było zawiele owej bezwiedności: nie dostrzegliśmy właśnie tego przymrużonego oka, z jakim go autor chciał widzieć na scenie.

Nowa sztuka pana Świderskiego wprowadza nas w tensam świat, z którego wyszła *Ojcowizna*. Jest w niej pewien postęp, w czystszej rysunku postaci, w lepszej sceniczności i większej zwartości scen: ale jest i mniejsza oryginalność. Nowy utwór zatytułowany *Na wsi*, przypomina: i p. Galasiewicza *Wspólne winy*, swojemi dziejami serca, które głównego wątku dramatyczności dostarczają, i *Szlachectwo duszy* swoim zestawieniem herbu z zasługą osobistą i wiele innych sztuk ludowych. Najlepszym jest, jako obraz rodzajowy, akt II, podczas gospodarowania na scenie tłumu wiejskiego, przebrał tylko autor miarę w tem, że z dzieciaków kazał ubranka zdzierać, z tytułu fantowania, a bardziej jeszcze w tem, że przesadę swą obronił twierdzeniem, jakoby taksamo działo się za ojców naszych. Tak się za ojców naszych nie działo: instytucja społeczna szła swoją drogą, miłosierdzie ludzkie i chrześcijańskie swoją: pojedynczych wypadków niewolno rozposzcierać na powszechność, a powtarzamy, cośmy już w tem miejscu powiedzieli, że w dramatach ludowych, ukazujących stosunek dwóch różnych klas społecznych, wszystkie fakta ściśle z tego stosunku wynikające mają znaczenie typowe i sam słuchacz generalizuje sobie to, co mu autor, jako odosobniony wypadek przedstawia. — Nieco karykaturalnym jest ów maciek do dworu wzięty; ale ma rysy pyszne, jak naprzykład, gdy po łbach chłopskich

chodzi. Pod względem dramatyczności, szczerogo, prostego, nienaciąganego efektu, najwyżej stoi zakończenie aktu III, gdy p. Swojewski bez deklamacyi, bez wybuchów, wysłuchawszy rozmowy dwojga zakochanych, córkę swoją panu Pszenicze oddaje. Sama ta córka jest naturalniejszą niż w dramacie p. Galasiewicza. Perora Pszeniczki o herbie i zasłudze niezmiernie się podobała publiczności, która rada była, że oklaskami przy najmniej herbom weznaki dać się może. Czy tego już nie zawiele? Niechaj ci panowie klaszczący pokażą osobistą zasługę, a pozwolimy im wtedy znęcać się nad szlachectwem i herbami. Ludzie nieznający przeszłości, a więc ciemni, ucą się tym sposobem tylko nieuszanowania dla dawnych pokoleń — a *czcij ojca twego i matkę twoją!*

S. K.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Wybory do Sejmu Pruskiego. — Ich wypadek. — Stronictwa i obywat. — Kulturkampf. — Nowy sekretarz stanu w Rzymie. — Znaczenie tej nominacyi w Niemczech. — Postępowcy w Berlinie. — Młody Bismarck. — Posłowie polscy. — Socjaliści. — „Nibelungi” i Meiningofscy artyści w Berlinie. — Nowości teatralne. — Zeszytowe wydania. — „Rosyja malownicza” Dra Roskosznego. — „Goethe illustrowany”. — Paweł Heyse, dzieła. — „Deutsche Bucherei”. — Carjere o niemieckiej sztuce. — Niemiecki poeta w Szwajcaryi, Konrad Ferdin. Meyer, jego pisma. — Powieść francuzka i wchodzące do niej ingredyencye. — Alf. Daudet. — „Robert Helmont”.

Najżywsze powinienby obudzić zajęcie wypadku wyborów do Sejmu Pruskiego, który właśnie, w chwili, gdy to piszemy, likwiduje się w dziennikach, wśród smętnej ciszy i zwątpienia jakiegoś, gdyż niezycich nie zaspokoili nadziei.

Popędziły go agitacye, mowy, starania, zgromadzenia, próby koalicyi i ustępstw wzajemnych ze strony obozów opozycyjnych różnych odcieni. Zdawało się, że słowo rzucone w tej sprawie przez samego cesarza, że zabiegi wymownych przewodzców — wydadzą jakiś owoc nowy, stworzą kombinacyą żywiołów w parlamencie inną.

Tymczasem, jak się z dotychczasowych okazuje obliczeń, wypadek ostateczny bardzo nieznacznie chyba zmodyfikuje stosunek głosów. Ani Bismarck, ani postępowcy, ani nawet centrum niezem wielkiem, żadną zdobyczą znakomitą pochlubić się nie mogą.

Jaki allans teraz zawrze kanclerz, aby bez wielkich ustępstw zyskać większość dla swych projektów? — nie daje to się określić.

Z tych wyborów, tak troskliwie przygotowywanych, najmniej skorzystali, albo raczej najwięcej na nich utracili, tak zwani narodowo-liberalni, których gromadka uszczupliła się uchodźstwem do sąsiednich grup, mnogimi odstępstwami.

Najmniej straciło centrum, zawsze się utrzymujące ze swą siłą, ze swą liczbą, z doskonałą karnością swoich zapasników.

Oile się wnosić daje z oznak pewnych, walka o kulturę nie jest wcale zakończoną, ani przewidzieć można, jak i kiedy się skończy. Ostry jej charakter minął; weszła ona w studium chroniczne, dziwne, i stała się czemś nieokreślonym, bezprawnym, dowolnym.

Mówiono, że Rzym gotów był księdza kardynała Ledóchowskiego poświęcić i przyrzec jego rezygnacyą, gdyby ks. arcy-biskup Melchers wrócił ulaskawiony do swej dyecezyi.

Nic jednak nie słyhać, czy na tej podstawie układy są możliwe. Inna wieść, jeszcze głucha, potrzebująca potwierdzenia, która będzie nowością, nawet dla dobrze obsługiwanych dzienników, dochodzi nas drogą prywatną. Nie sądzimy, ażebyśmy z niej potrzebowali czynić tajemnicę — podając ją, jak nam przychodzi — za prostą, obiegającą Rzym w tej chwili — pogłoskę.

W miejsce kardynała sekretarza stanu księdza Jacobiniego, który oddawna prosił Ojca Św. o uwolnienie od obowiązków — mowa jest o mianowaniu księdza Czackiego, świeżo kreowanego kardynałem.]

Mówią, że w kolegium rzymskim nominacja spotyka mnogich przeciwników, ale Ojciec Św., który z całego sposobu postępowania w Paryżu nuncjusza w myśl swoje, był bardzo zadowolonym—obstaje przy tem silnie.

Bądźco bądź, sekretariat stanu w rękach kardynała Czackiego dla Niemiec, którym on persona grata być nie może, miałby znaczenie niemal wypowiedzianej wojny. Sama już narodowość kardynała, jakkolwiek dostojność ją zaciera, Cesarstwu Niemieckiemu miła—być nie mogła. Ojciec Św. nie może o tem nie wiedzieć ani się spodziewać, aby ks. Bismarck obojętnym patrzył okiem na fakt takiej doniosłości. W Prusach jest narodowość ta właśnie najzjadlej prześladowana.

Niema wątpliwości, że, gdyby się wieść ta sprawdziła miała, oddziałałaby na tutejsze stosunki i ów kulturkampf nieszcześliwy.

Ze strony Ojca Św. oznaczałoby to niemal wyrzeczenie się nadziei porozumienia ugodowego z Niemcami.

Dlatego, chociaż źródło, z którego czerpiemy wiadomość, ma za sobą powagę wielką—nie chcemy jeszcze dawać jej wiary. Rzecz jest dopiero w projekcie, a wola Ojca Św. rozbić się może o przeważne względy polityczne.

Cisza po wyborach—o której mówiliśmy wyżej—jest wielce znaczącą. Cieszą się tylko, acz niezbyt głośno, postępowcy, przeprowadzeniem swoich wszystkich kandydatów w Berlinie, bo tu—wistocie tryumf odnieśli nie bez moralnego znaczenia.

Berlin nie poprawił się wcale. Przeważa tu ten duch opozycji, który się niczem złamać nie daje.

Z nowo-wybranych posłów zwraca na siebie szczególną wzmiankę jeden z synów księcia Bismarcka, który do wolno-zachowawczego obozu należy.

Wobec nowin tych, tyjących się składu nowego sejmu, inne są pomniejszej wagi. Nim się dowiemy, jakie projekta podatków wniesione będą od korony, naprzód zapewne coś pewniejszego się da słyszeć o przyszłej koalicji, która większość stanowić będzie.

Co się tyczy liczby posłów polskich, pomimo nadzwyczajnych wysiłków do utrzymania się z tą samą siłą, jaką mieliśmy w przeszłej sessji, lękamy się wielce, czy dwóch mandatów nie przyjdzie stracić. Mylić się możemy i pragniemy szczerze, abysmy się omylili. Stronictwo socjalistów pozostało obojętnem czasu agitacji i wcale kandydatów swoich nie stawilo nawet. Prawdopodobnie głosy jego padły na postępowych.

Nigdy może stanowcza chwila po wyborach—większym spokojem i pozorną obojętnością nie była witańa.

Berlin ma dla rozerwania się po ciężkich antysemitkich bojach i Stockerowskich odczytach—przedstawienia „Nibelungów“ Wagnerowskich—które wędrują po Niemczech ze swym impresario—i dotąd zawsze prawie salę zapelniają.

Meiningeński artyści bawili tu także tym razem z powodzeniem niewielkiem i pociągnęli również na objazd prowincyi.

Nowości dramatycznych niema tak dalece, a dwie poważniejsze: „Alexander Wielki“ ks. Jerzego pruskiego,—poemat dramatyczny, któremu wielkie przyznają zalety i myśl piękną—w poetyczną ubraną szatę—i „Alcybiades“ Pawła Heysego, nie w Berlinie ale na innych scenach rezydencyj pomniejszych się ukazały. Berlin woli operę, operetkę, naostatek farsę wesołą bodaj, niż szerokiego nastroju dramata. Poważniejszej one niż tutejsza,—roztargniona, zmęczona, szukająca rozrywki—wymagają publiczności.

Ze zbliżającym się rokiem nowym zarzuceni jesteśmy prospektami wydawnictw zeszytowych, zwłaszcza ilustrowanych. Sposób ten czynienia przystępnymi ksiąg, nawet stosunkowo kosztownych, który u nas się rozbija o brak wytrwałości, nawet gdzie o regularne składanie dwuzłotówek chodzi—w Niemczech jest powszechnie przyjętym i wydawcy zawdzięczają mu rozpowszechnienie dzieł, któreby trudno inaczej kupców znalazły.

Ubodzy ludzie nieraz—widzieliśmy to w praktyce—od ust sobie odrywają tych pięć srebrników, które dają miesięcznie za „Gartenlaube“ lub inną jaką publikacją zeszytową. W bardzo ubo-

gich domkach zdarzało się nam spotykać nabywane w ten sposób dzieła ilustrowane przepyszne.

Po Włoszech, Szwajcaryi, brzegach Renu i t. p., przyszła kolej na Rossyę malowniczą, której zeszyt pierwszy ze wstępem Fryder. v. Bodenstedta już się ukazał. Imię redaktora Dra Roskosznego nam nie obiecuje i nie powiada, ale poza niem ma stać cały szereg współpracowników. Ilustracje bardzo obfite, są wcale piękne—i zapewne za pożyczone z „Rossyi malowniczej“ Wolffa, o czem jednak w prospekcie nie niema.

Drugim wielkim takim przedsięwzięciem—więcej obiecującym i z prawdziwym staraniem rozpoczętem, jest „ilustrowany Goethe“.

Będzie to, naturalnie, wybór tylko dzieł wielkiego poety i wszystko to, co dla najszerszego koła czytelników jest dostępnem.

Najznakomitsi artyści współcześni ozdobią rysunkami arcydzieła myśli. Jeden z najulubieńszych, najwyżej i słusznie cenionych niemieckich poetów, pisarzy dramatycznych i nowellistów—miły Paweł Heyse doczekał się także zbiorowego wydania wszystkich dzieł swych, wychodzącego zeszytami.

Paweł Heyse, być może, nigdy w całym znaczeniu wyrazu tego, popularnym nie będzie. Nie pisze on dla tych bezmyślnie i bezsmakownie wszystko polykających tłumów, dla których strawa być musi tłusto, pieprzo i słono przyprawna. Przedewszystkiem znakomity artysta—tem droższym on jest dla znawców, dla ludzi smaku wykształconego, dla tych, którzy wymagają obok wytwornej szaty pożywnego myśli ziarna w każdym utworze. Nowella najmniejsza Heysego zawiera w sobie zawsze jakąś ideę, jakiś rys ze sturamiennego obrazu życia ludzkiego, dobyty i wyswietlony genialnie.

Nie zaręczamy za to, czy ulubione dość powieści Spielhagen'a, Ebers'a i t. p. próbę czasu zwycięsko wytrzymają; Heysego pewnym być można, iż w literaturze pozostanie.

Nie wiem prawdziwie, czy wspominałem tu już o całym szeregu publikacji zeszytowych, treści jaknajrozmaitszej, które wydaje jeden ze znaczniejszych nakładców S. Schottlaender we Wrocławiu, pod tytułem: „Deutsche Bucherei“; ukazało się już zeszytów takich, po cztery, szesć, ośm srebrników—kilkanaście.

Jest to czytanie łatwe, dostępne każdemu, a treścią swą pociągające.

W innej korespondencji naszej, daliśmy wiadomość o „Grobowcu moim w Tebach“ J. Ebers'a, napisanym do tego zbioru, który został później przetłómaczony popolsku.

Jeden z zeszytów zajmuje się Ryszardem Wagnerem, inny Bret Hartem, królową Carmen Sylva; Maurycy Carriere dał tu rozprawkę o wzajemnych stosunkach sztuki włoskiej i niemieckiej.

Ze wszelkim respektem dla znakomitego estetyka niektóre z twierdzeń zawartych w tym bardzo pobieżnym rzucie oka, wprawiły nas w zdumienie wielkie. Carriere usiłuje dowieść, że sztuka niemiecka nietylko się włoskiej wyprzedzić nie dała, ani prześcignąć—lecz że właściwie ona szła przodem i ma większe zasługi. Być może, iż włoscy sztycharze podrabiali Dürera, na co się on uskarżał; że Rafael go oceniał, bo geniusz wszechstronny każdy kierunek i każdy rodzaj piękności należycie oszacować umie; być może, iż szkoła staroniemiecka nie uległa bezpośredniemu wpływowi sztuki włoskiej; lecz żeby niemiecka prześcignąć miała starszą siostrę—i nawet oddziaływać na nią—to potrzebuje silniejszych dowodów, niż je Carriere przytacza. Nie będziemy z nim o to polemizowali, bo-by nas to za daleko zaprowadziło.

(Dokończenie nastąpi).

GROBOWIEC KRÓLA-POKUTNIKA.

(Dokończenie).

Gesta Chronicalia (Kodex Witowski) z r. 1464
zmacniają jeszcze dwa poprzednie świadectwa.

Ze wszystkich dawnych podań to jest najobszerniejszem, najobfitszem w treść biograficzną. Opowiada Chronista, jak Bolesław przybył do Władysława, jak mu ten doradził iść do Rzymu i papieża przeprosić—czego jednak król nie uczynił, poprzestając na pokucie, i dla odbycia jej „*devotius rediens in proprium quoddam claustrum in finibus Ungariae intravit in quo poenit. us in Domino obdormi-vit, in agone autem mortis confessori suo se regem Lechitorum lucidens*“¹⁾. Pisz dalej o nagrobku, że wielu go z naszych czytało, a wyryty był przez mnichów na grobie.

O tem wszystkim świadczono już w środku XV wieku. Wiara w pokutniczy skon Bolesława, zjawiwszy się u Dombrowki, idzie dalej bez przerwy; ma ją Długosz, ma i przytoczona przez Lelewela *Kronika Trzemeszeńska* z lat 1490—1522. Miechowita objawia pewien sceptycyzm; mówi, że szukał, ale nie znalazł; gdy jednakże sam przyznaje, że na miejscu nie był nie wiadomo czy mógł znaleźć innego, przez świadectwa swych poprzedników. Kromer, przekonany o istnieniu nagrobka przy kościele, podaje przytem wieść o samobójstwie króla. Jedną z trzech możliwości w jego kronice Bielskiemu przedstawia się jako jedyną na pewność: wierzy on w prawdziwość podania o Ossyaku i choć wie o powątpiewaniach, uważa je za bezzasadne²⁾. „Leży na cmyntarzu, a *na nim* jest kamień wielki“;—wskazywałoby, że wmurowanie kamienia nastąpiło dopiero później.

Wszystkie te podania kronikarzy naszych nie odbijają w sobie jeszcze podać miejscowych. Dopiero bywalec a wszystkowiedz i niewyczerpany gawędziarz, Bartosz Paprocki, pierwszy zapisał to, co o Bolesławie na miejscu zakonnicy zwiedzającym grób prawili, a co jemu samemu powiedział, człowiek wielkiej powagi, świętobliwy kapłan i wyborny kaznodzieja, Marcin Białobrzeński, Biskup Kamieniecki († 1586). Wzmianka Paprockiego zgadza się z powyższymi zaznaczeniami w księdze probostwa ossiackiego; występuje w niej tylko nowy czynnik: klejnoty królewskie, zjawia się nowy szczegół: pochowanie za cmentarzem, na niepoświęconej ziemi. Kaplica okrągła, o której mówi Przeździecki jako o części integralnej kościoła, miała być zbudowaną później, umyślnie dla grobowca; nad samem ciałem stał jeszcze za Paprockiego wielki ołtarz. Jeżeli tak było istotnie, dowodziłoby to, że grobowiec, ruszano z miejsca jeszcze przed odwiedzinami Wojewody Nowogrodzkiego; a przy takim przenoszeniu ciała na cmentarz i późniejszem przesuwaniu grobowca przy murze kościelnym, mogły łatwo porozpraszać się coraz węższe kości i próchniejące szczątki trumny.

Do rzędu świadectw zapisanych w owej księdze pamiętniczej probostwa ossiackiego zaliczyć można i dawny epigramat łaciński, niegdyś pod obrazem nadgrobowym umieszczony:

Occidit, Romam pergit; placet Ossiach illi;

Ignotus servit: notus pia lumina claudit.

Ossiach placeat hinc tibi, Stanislaë, tyrannum,

Mitem quod factum coelestibus intulit astris⁴⁾.

Oprócz wiersza powyższego za czasów Valvasora, którego dzieło: „*Topographia Archiducatus Carinthiae*“ (Norymberga, 1688) znają zarówno Lelewel jak Przeździecki, a za pewne nie zna go p. Buszczyński, bo wcale o niem nie wspomina, znajdował się jeszcze w dawnym manuskrypcie pięciowiersz, kładący Bolesławowi w usta następujące słowa:

1) „W pobożnem usposobieniu odchodząc, do jakiegoś własnego (założonego przez siebie) klasztoru na granicach Węgier wstąpił i w nim, pokutując, w Panu zasnął; w krytycznej zaś chwili śmierci objawił się spowiednikowi jako król Lechitów“.

2) *Kronika Polska; w Zbiorze Pis. Polskich Gałęzowskiego*; tom XI, str. 203.

3) *Herby Rycerstwa Polskiego*, pod klejnotem „Orzeł“, ed. Turowski; str. 23.

4) „Zabija, do Rzymu dąży; podoba mu się Ossiach; niepoznany służy; poznany, pobożne światła dnia zamyka. Niechże się i tobie, Stanisławie, Ossiach podoba, iż ugłaskanego tyra na gwiazdy niebieskie zaniósł“.—Lelewel przedstawia porządek wierszy: drugi kładzie w miejsce trzeciego, i odwrotnie. Przeździecki czyta w trzecim wierszu „placet“ zamiast „placeat“ i daje skutkiem tego przekład, którego myśl trudno uchwycić.

Horrida ego sum et scelere dives.
Hic latui, luxi, deplorans facinus audax;
Ne tamen ob crimen coelestis vindicet ultor,
Sanguine purpureo tingentem sidera Olympi,
Te, Stanislaë, rogo, precantis advoca causam 1).

Niemcy w XVIII wieku napisali cały poemat o Bolesławie Chrobrym i jego pokucie w Ossiaku. Bezporównania więcej zajmowano się królem naszym na obczyźnie, niż u nas. Tosamo już nada- je powagę podaniu ossiackiemu.

Niezależnie od *Annus milesimus* i *Das Kloster Ossiach* wie jeszcze p. Buszczyński o dziełach G. Ankershofen'a, C. Ghona, i H. Hermann'a; nadto podaje tytuł Hohenauer'a: *Kärnthens Geistlicher Ehrenkranz* (Villach, 1851). Autor ten opiera się podobno na następujących artykułach, książkach i kronikach dawniejszych: Megisser *Kronik von Kärnthen* (1612), *Die Carinthia* (czasopismo), 1811—1849; Wendethal: *Austria Sacra* (1783). *Annus milesimus* według barona Ankershofena zawiera wyjątki z *Annales* opata Gröblachera z XVI wieku; z tych-to *Annalów* prawdopodobnie czerpali przywiezione do kraju wiadomości Białobrzęski i Kuczborski.

Tak tedy zasób drukowanych świadectw historycznych wiadomych, a może i znanych już dotychczas, p. Buszczyńskiemu, nie przedstawia się świetnie; ale jest to rzecz jak nateraz *minoris momenti*: nie w pomnikach bowiem drukiem ogłoszonych, a do literatury powszechnej należących, ale w wydawnictwach miejscowych, mało znanych zazwyczaj, a nawet lekceważonych w wielkich ogniskach nauki i literatury, głównie w archiwach Karyntyi, Styryi i Tyrolu i w samym Wiedniu, mogłyby się znaleźć te dowody, jakich dzieje Bolesława dla siebie potrzebują. Ktoby chciał pomnikiem piśmienniczym, odsłaniającym przedzgonne lata króla, uczcić jego pamięć — musiałby wziąć kij pielgrzymi do ręki i obejść cały obszar między Drawą i Murem, przetrząsnąć tam wszystko, co się w lekceważonej starzyźnie znaleźć może, zajrzeć wszędzie do bogatych archiwów wiedeńskich: a dopiero po takiej pielgrzymce, — może bezowocnej — rozpocząć pracę biblioteczną i tę już w sposób jak najbardziej wyczerpujący, bez gorączkowego pośpiechu, wprowadzić na najwyższy możliwy stopień dokładności.

Odchodząc od tajemniczej postaci króla-zdobywcy, nie możemy wobec mnóstwa sprzecznych, a przeważnie stronniczością napiętnowanych zdań o nim, pominąć sądu, jaki wydał, nieco rubaszny, ale niepodległy i zawsze dzielny Polak i człowiek, Marcin Bielski. Niektórzy nowsi historycy nauczyli-by się od niego mogły spokoju, stanowczości a sprawiedliwości w wyrokowaniu. „Jakiżkolwiek ze świata zszedł ten król — mówi kronikarz — tedy go mamy dziś pożytek dobro. Bo gdyby go był Pan Bóg na ten czas nie dał, byłibyśmy pod mocą Rusi, jako Ruś u nas dziś. Lecz, że nie umiał miarkować gniewu swojego w sobie, jako pospolicie Marciales bywają, także, że szczęścia swego, które mu Bóg dał, miernie nie chciał używać, przyszło do tego, że co nieborak napisał złotem, to zmasał błotem 2).

Tak jest: dobrze pojął charakter, rolę i zasługę dziejową Bolesława nasz Bielski. Była to natura gorąca, niespokojna i chaotyczna, ale wielka, i do tragedyi, dla Shakespeara, a jakgdyby stworzona. Nie znalazł jednak dotychczas tragika a czeka ciągle na biografa i o historyka woła. Co znaczą dziś wszystkie przypisywane mu winy, i jaką wagę mieć mogą przyznawane przeciwnikom jego cnoty? Wszystko to dziś tylko proch drobny, marny — popiół i dym. Wszystko znika wobec wielkiej myśli dziejowej, która się w winowajcę wcieliła. Jeżeli jest życie za grobem i pamięć tego, co przed grobem było, jakże ciężkimi, archańskimi łzami musi płakać jego duch, ilekroć spojrzysz na tę ziemię, której dobru, chwale i potę-

dze przez dwadzieścia lat służył, prawda, że nie święty: ależ ziemia nie jest dla świętych, a na jedenasty wiek i wystające nad poziom jego kolosy nie można patrzeć okiem dzisiejszem, przywykłym do przeciętnego człowieka, lub, co gorsza, okiem, które zalewa krew namiętności stronniczej. Po czei dla Boga człowiek nic większego dać z siebie nie może, nad cześć dla człowieka.

Grobowiec Bolesława odwiedził w 1837 roku Wł. Ostrowski z celem poważniejszym niż zaspokojenia szlachetnej, co prawda, ciekawości. W ostatnim dziesięcioleciu nie zapominano o królu-bohaterze; pan Buszczyński wymienia piętnastu rodaków, którzy zaznaczyli bytność swą napisami — według niepoprawnego obyczaju naszego — na samym pomniku. Pamięć o znakomości narodowej powinna się czynnie i skutecznie objawiać — dbałością o zabezpieczenie szczątków śmiertelnych, jakie w grobowcu jeszcze dotrwały. P. Buszczyński uważa za niezbędne zapobieżenie wsiąkaniu wody do wnętrza i proponuje sprawienie marmurowej lub metalowej urny, w którąby pozostałe jeszcze kości sypały i na długie jeszcze wieki tym sposobem zabezpieczyć można. Pomysł zasługuje na powszechne poparcie, a niezmiernie małymi środkami da się urzeczywistnić. Z ustawieniem urny połączyć-by należało — mówi dalej podróżnik, czią dla pamięci niepospolitego króla przejęty — umieszczenie nowej tablicy pamiątkowej, wewnątrz kościoła nad wyżej opisanym sklepieniem. Gdyby były środki a miejscowe duchowieństwo pozwoliło, dla czegożby pomnika nawet nie postawić? Bolesław jest jednym z największych ludzi w dziejach naszych: kto taką sławę swoją nazwać może, ten ją sercem dobrego syna szanować powinien.

Stanisław Krzemiński.

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Październiku 1882 r.

Wystawa w Tryeście. — Sezon. — Kwestye gości. — Meeting angielski. — Angielki. — Makart. — Matejko. — Teresina Tua. — Nowości sceniczne. — Dramat domowy Straussa. — Cywilne zakonnice. — Petöfi. — Jokay. — Arany. — Wydawnictwa tanie węgierskie. — Salony w Peszcie. — Ebert.

Sezon się rozpoczął, pustynia stolicy zaludnia się — ale przed kroniką jesieni potrzeba uzupełnić kronikę lata. Płacąc 24 zlr. tam i napowrót można było zwiedzić Triest, pokolysać się na morzu, obejrzeć wystawę z całej Austryi, z którą połączony był obchód 500-letniej przynależności Tryestu do Austryi. Włosi, a raczej internacjonalni agitatorowie, chcieli wprawdzie bombami od wystawy odstraszyć, obchód udaremnić, lecz to im się nie udało. Nie uląkł się ich cesarz z całą rodziną, gościł tam między ludnością, bo oni agitatorowie są — bardzo nieznaczna frakcyą, odpychaną przez ludność, a ludność ta, miasta, okolicy, wybrzeża, jest przeważnie słowiańska. Przez wieki byli to niewolnicy, selawi „wysługujący się Niemcom i Włochom“; dzisiaj zaczynają śmieiej oddychać, zaczynają doznawać pewnej opieki. Kiedyś Wschód i Południe Europy przedstawiać będą obraz zprzed wieków, — kiedy-to ludy słowiańskie aż po Adryatyk się rozlewały; potem przyszli Włosi, Turcy, Niemcy, Węgry; przez wieki o Słowianach, najdawniejszych mieszkańcach, ucichło... Dzisiaj znowu są, żyją, rosą: Serbowie, Bulgarowie, Kroaci, Słowency, Słowacy, Czarnogórcy, — wszystko odrębne indywidualności, lubo z jednego pnia. Siedzą Słowianie nad morzami, jak siedzieli; tylko że dziś znowu wiedzą o sobie i czują się. Gotują się tam nowe wieki historii — widzi się to także i w Tryeście...

Chodźmy na wystawę. Położenie z natury bardzo piękne, a wystawa jest taka, jak wszystkie inne. Wszystko tu jest, co natura daje i ludzie wytwarzają; jestto popis dla popisu, — zbytek i za-

bawa, bo celu dodatniego niema. Ani obrazu prawdziwego produkcji krajów żadna taka uniwersalna wystawa nie przedstawia, ani nie pomaga w niczem stosunkom handlowym, międzynarodowym — które mają na usługi koleje, okręty i telegrafy, a na wystawę nie czekają. Dla ogółu ludności jest to zawsze zajmujące widowisko; dla miasta korzyść z napływu gości — zresztą wystawy stały się modą, więc panują.

Dla nas miała ta wystawa cechy niektóre charakterystyczne i sympatyczne. Osobny pawilon chorwacki, z drzewa, typowy wyróżniający się, po raz pierwszy oddział Bośni i Hercegowiny. Wszystkie wyroby mają tu mieszane znamię: słowiańsko-turckie; bogactwo płodów natury ogromne, talenta przyrodzone niespożyte, oryginalne — są to światy przyszłości.

Galicja wystąpiła ubożuchno: nie na wiele ją stać, nie opłacają się też koszta popisu.

Stosunki rolnicze Galicji przedstawił dr. Tadeusz Pilat w 7 mapach, a sekretarz izby handlowej lwowskiej Rodyński dał mapę statystyczną Galicji i Bukowiny. Dostali obaj srebrne medale. Płodów surowych nie dostarczyła Galicja zupełnie. Mąkę wystawili Zaworowski i Tom; dostali medale. Masło, ser, bryndzę nadesłało 9 producentów. Soli nie było; z Byrslawia oleje skalne, wosk ziemny, cerazyna, asfalt, nafta; okazano niektóre z tych rzeczy, o interessa nikt się nie starał. Wystawili nadto: Czyński z Jarosławia sucharki i pierniki; Rucker ze Lwowa konserwy do zup; nowy zakład *Morszyn* wody mineralne jodowe; aptekarz ze Lwowa Blumenfeld wytwory z chinu i żelaza. Były, ale nie zwróciły uwagi i doskonale wyroby szkoły snycerskiej hr. Potockiej z Rymanowa i fortepian Woronieckiego z Jasła „systemu francuzkiego, fasonu amerykańskiego, konstrukcyi niemieckiej.“ Forte piany Woronieckiego są znakomite, kupują je za granicę, u nas sprowadzają ten towar z zagranicy.

Wracamy do Wiednia. Bywało tu tego roku po czterech królów naraz; było raz 80 osób z Ameryki; było raz około 300 osób z Anglii, były co niedziela podróże balonowe: a przecież Wiedeń skarżył się ciągle i skarży na pustki, na to, że go turyści omijają, a jeżeli już kto zawita, to nie popasie i znika. Jest to tak dalece prawdą i skarga tak jest powszechną, że postanowiono obmyśleć środki takie przeciw pustkom. Rada miejska wybrała osobny do tego komitet i zawiązało się osobne towarzystwo „dla przyciągania obcych do Wiednia.“ Nie to wszystko nie pomoże, aż się stosunki zmienią. Ma Wiedeń warunki, doskonałe ramy na stolicę; ma dwór, rząd centralny, ambasady, okolice śliczne; miasto jest ogromne: ale zwyczaj i obyczaj ludności nie stołeczne, są, parafiańskie.

Panuje knajpa i specyalna heca, która obcego ani zajmuje ani bawi; hotele drą niemiłosiernie; obiadów wspólnych lub na stałe ceny niema, lub szalenie są drogie i wyjątkowe; po czwartej nic już nie dostanie; obiady pod wieczór nieznanne, dopiero wieczorem knajpa i piwo. W lecie niema żadnego teatru; towarzystwo, salon nie istnieją; a zakładów wielkich, któreby je dla obcych po części zastępowały, także ani śladu; wszystko urządzone według parafiańskiego gustu miejscowych — dla gości nic, bo to wszystko niesmaczne, płaskie, nudne a drogie.

Obrodował tego roku w Wiedniu meeting angielskiego Instytutu stali i żelaza; przybyło i Angieliek może dwadzieścia. Przyjmowano ich tak, jak poprzedniego roku kongres literacki, mimo to mówili Angielcy: „W Paryżu byliśmy trzy tygodnie, tutaj po 3 dniach nie mamy co robić, jedziemy dalej.“ A jakież to naród przyjechał: same wielkoludy; a Angielki! Starsze panie okazały, poważne młode wysmukłe, niebardzo ładne, ale pełne wdzięku, swobody, a wszystkie miały cerę tak białą i zdrową, starsze zaś panie szale indyjskie białe złotem przetykane tak cienkie, że kiedy na reunionie stanęły obok nich Wiedenki zbyt tłuste, pomalowane, ubrane protensjonalnie a bez gustu,.... dalibóg żal mi ich było,.... że się na porównanie naraziły.

Wypadkiem głośnym, opisywanym, omawianym było małżeństwo w świecie artystycznym.

Makart ożenił się z byłą prima-balleriną Bertą

1) Otom jest mężobójca i w zbrodni bogaty, Tum krył się, tu bolałem, czyn mój oplakując; Aby śmiecieli w niebiosach nie brał pomsty zemnie, Błagam ciebie, którego krwią gwiazdy Olimpu Zaczterwione, wstaw się za mną, Stanisławie”.

2) *Kronika*, I. c.

Linda. Makarta nazywają tu Moltkim malar-
skim—z powodu, że nigdy nic nie mówi. Zaba-
wnie też ten *romans* opisują. Przed trzema laty
na zabawie artystów siedział Makart przy Lin-
dzie, patrzył, ale przez całą noc ani słowa się
nie odezwał. Nad ranem spostrzegła ona, że Makar-
ta opanowuje jakiś niepokój; wstała i niezważając,
że ona z kim innym rozmawia, przewyciężając
się, przemówił do niej: „Rękę.“ — Linda zrobiła
wielkie oczy, nie nie rozumiejąc. On powtórzył
z naciskiem: „rękę!“ Linda zaczęła swoje ręce
oglądać zdziwiona. Makart, zniecierpliwiony, od-
szedł. Po dwóch latach spotkali się na balu opery;
Makart nie odstąpił jej ani na chwilę. O trzeciej
nad ranem odezwał się znowu: „rękę.“ Znowu
zadziwienie, pytające wejrzenia—pauza. Po pół
godzinie Makart odezwał się znowu: „rękę, mnie
uszczęśliwić.“ To już Linda zrozumiała i odrzek-
ła: „mów pan z moją matką.“ — „Mówić,“ było
to dla niego zadanie cięższe, niż krokodyl Anieli
ze „Ślubów Panińskich.“ Opowiadają, że postano-
wił raczej rzec się wszystkiego, niż zmusić się
do rozmowy—to nad jego sily. Minęły dwa mie-
siące, panna płakała, Makart milczał. Wdali
się w to obustronni przyjaciele i doradzili Makar-
towi, żeby zamiast mówić — pisał. On kiwnął
głową na nich, że się zgadza. Przyjaciel napisał
list, Makart podpisał, przyjaciel go zaniósł—i ja-
koś to nareszcie załatwiono.

Oglądając Matejki „Hołd pruski,“ Makart *prze-
mówił*: że trzeba ten obraz studyować, a nawet
za trzecim razem robił pewne krytyczne uwagi.
Rancom pierwszy krytyk tutejszy, przychodził
kilka razy, mówił i pisał z głębokim uszanowa-
niem dla dzieła i mistrza, co mu się rzadka
zdarza. Cesarz powtarzał kilkakrotnie, że jest
zachwycony, arcyksiążę Karol Ludwik oświadczył
głośno: „Ten cesarski podarunek spowoduje
niewątpliwie przypieszenie robót około restaura-
cyi zanku na Wawelsu.“

W koncertach zachwycała uszy, zawracała głó-
wy, rozmarzała, dziewczyna szesnastoletnia,
Włoszka, Teresina Tua, grająca na skrzypcach,
a bardzo ładna; przytem obok artyzmu młodości
i piękności, zręczna. Wiedeń podbiła; zapewnia-
ją, że podbije świat.

Kiedy jesteście przy sztuce, to dodam zaraz, że
sezon teatralny po panice pożarowej rozpoczął
się dosyć pomyślnie i zajmująco. Z oryginalnych
komedyi dwie są wcale dobre: „Zauberin am Stein“
i „Schwabenstreich“ zresztą panują Francuzi, „Ran-
tzau, Lili, Serge Panine“, i t. p. W Burgu, jak zwy-
kle pojawiają się i klasyczne rzeczy „Antoniusz
i Kleopatra,“ a „Fausta“ trilogia na trzy wieczory
rozłożona jest zapowiedzianą. Coquelin z Théâtre
français z towarzystwem mają zjechać na gościnnie
wiedniu, żeni się z panią Strauss, była żoną
króla walca, znaną opiekunką kolonij wakacyj-
nych. Strauss więc rozwiódł się z żoną — sprze-
dał pałac, wille, gdzie, bywało, dzieciom kolonij
przygrywał — i zrobił testament przekazujący
znaczną fundusz na założenie instytutu muzyczne-
go. Są to wszystko motywa i fakta—chyba nie
do walca.

W Sejmie Niższoaustriackim przyszła na stół: nie-
spodziewanie sprawa emancypacyi, równopraw-
nienia kobiet. Wniesione zostały skargi, że na-
uczycielki szkół publicznych bardzo często biorą
urlopy, których im władze odmówić nie mogą,
z tąd koszta, przerwy, niedogodności. Wskutek
tego jeden poseł wniósł, żeby nauczycielkom nie-
było wolno wychodzić z domu, albo też, co wola,
męża, czy posadę, żeby zameżnych w ogóle nie by-
ło wolno przyjmować i żeby przyjęte oddalać. Inny
poseł złagodził ten wniosek, żądając, żeby władza
szkolna wydawała pozwolenia na zameżcie. Pier-
wszy wniosek żądał zatem wprowadzenia jakgdyby
cywilnych zakonnic—upadły zaś oba wnioski po
długiej ciekawej i drażliwej dyskusyi. Tymcza-

sem pozostało jak było, ale sprawa powróci na
stół; bo gminy utrzymujące szkoły chcą się ubez-
pieczyć przed przerwami i kosztami. Kwestya to
wcale nie łatwa....

Nie balonem „Vindobona,“ który spadł pędzony
burzą na cmentarz w Stockerau, potarzał się
w szmaty, podróżnych wyrzucił i pokaleczył—ale
pośpiesznym pociągiem wypada nam pojechać do
Pesztu.

Piękne, wielkie i smutne były tam dni.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA DZIAŁALNOŚCI KOBIECEJ.

Na Witebskiej wystawie rolniczo-przemysłowej,
otwartej w przeszłym miesiącu, zaznaczyła się
p. Bujnowa z Krasławia piękną grupą wyrobów
koszykarskich, w których fabryka, założona przez tę
panią w wyżej wzmiankowanej miejscowości z ce-
lem filantropijnie obywatelskim, prowadzoną jest
na wielką skalę; dodać tu zatem trzeba, że do liczby
dobrze krajowi swojemu zasłużonych ludzi przy-
było jedno więcej nazwisko kobiety.

W jednym z *Przytułków* dla kobiet, które z d. 13
bieżącego miesiąca w mieście naszym otwarte zo-
staną, stale ordynować będzie Dr Anna Tomaszew-
icz.

Zakład przemysłowo-rzemieślniczy dla kobiet
p. Suchowieckiej, mieszczący się przy ulicy Nowy-
Świat pod Nr 68, w sprawozdaniu swoim za rok
przeszły podaje następujące szczegóły. Przez trzy
lata istnienia zakładu miał 475 uczennic, z których
373 ukończyło naukę w obranych przedmiotach,
a przedmiotów tych było 13, znanych czytelnikom
naszym, z poprzednich wykazów ruchu w tym za-
kładzie. Najwięcej uczennic było na wydziale
zwykłych robót kobiecych, to jest kroju i szycia
bielizny, kroju i szycia sukien, strojów, wreszcie
wyrobu krawatów. Przecież ostatnio to zajęcie
okazało się w praktyce najmniej korzystnym, gdyż
oile to wiadomym jest zakładowi, nawet wykwalifi-
kowane w tej gałęzi pracy robotnice, z trudno-
ścią miejsce znaleźć sobie mogą, a nawet wiele
z nich nie znalazło go wcale. Krój i szycie ręk-
awiczek także wykazuje bardzo niskie rezultaty
zarobkowe, co jednakże według naszego zdania tłó-
maczyć się może jedynie wielką konkurencją,
gdyż szycie rękawiczek pozostaje stale w rękach
kobiet, jak i szycie krawatów, oile te są wyrobu
krajowego. Towar zagraniczny odbiera tu zarobek
kobiecie naszej. Szewstwo zostało usuniętem z za-
kładu p. Suchowieckiej na żądanie uczennic, dla
których zapach skóry był przykrym. Nauka in-
troligatorstwa i heliominatury nie wydała także
pożądanych owoców; innych zaś rzemioł wcale
uczyć nie było można, dla braku odpowiednich
kompletów uczennic. Za staraniem zakładu otrzy-
mało robotę 108 wyuczonych w nim pracownic;
według wiadomości zakładu, dziewięta część wy-
uczonych robotnic nie znalazła zaraz zajęcia.

Czytelnia dla kobiet i dzieci, znajdująca się przy
ulicy Niecałej Nr 8, a założona i utrzymywana
zaczemni usiłowaniami pp. Maryi Ołędzkiej i Zofii
z Papłońskich Roszkowskiej, doszła do liczby 543
dzieł w języku polskim, francuzkim i niemieckim,
a można z całą sumiennością dodać, że się to
wszystko dzieła w kierunku belletrystycznym,
historycznym i polarno-naukowym wyborowe.
Warunki abonamentu są: rocznie rs. 2, półrocznie
rs. 1 kop. 50, miesięcznie kop. 30, czyli abonując
rocznie otrzymuje się książki najlepsze, pomiędzy
temi niektóre bardzo drogie, za grosz i ułamek ja-
kiś na dzień, a nawet miesięczny abonament daje

czytanie za dwa grosze dziennie. I za tę cenę
można czytać wszystkich poetów naszych, poznać
dzieła Żmichowskiej, Kraszewskiego, Kremera,
Kaczkowskiego, Zacharyasiewicza, wszystko co
wydał świeżo Tarnowski, Dzieduszycki, Smolka
i t. d. Nie znajdzie się tam tylko Zoli i jemu po-
dobnych autorów. Zastaw rs. 2.

Do poznańskiej czytelni Dra Jeżykowskiego za-
żądano od p. Alexandry Marczewskiej 100 egzem-
plarzy bardzo zajmującej historycznej powiastki
dla ludu: *Królewski dziadek*.

Modrzejowska, występująca obecnie z powodze-
niem w Ameryce, w Bostonie, ma według *Reformy*,
zapewnić dobre powiadomienie jej, starać się o dzier-
żawę teatru Lwowskiego wespół z Ładnowskim.

W Londyńskim *British Musaeum* miewają obe-
nie licznie uczęszczane odczyty dwie uczone ko-
biety. Miss Małgorzata Harkness, poczynając od
11 Października, ciągnie seryą sześciu prelekcji,
co tydzień jedna, o historii i starożytnościach
Assyryi, tłómaczy przytem pismo klinowe i obja-
śnia pomniki i rzeźby znajdujące się w Assyryj-
skiej Galeryi British Musaeum. Miss Harrison
także raz na tydzień wyklada pierwotną Sztukę
Grecką w ośmiu prelekcjach, z których pierwsza
odbyła się w dniu 18 października.

W pośród ludności Londyńskiej, liczącej cztery
miliony dwakroć pięćdziesiąt tysięcy dusz, znajdu-
je się 550,000 kobiet pracujących, a między temi:
226,000 sług; 16,000 nauczycielek; 4,590 kwiaty
wyrabiających; 5,100 introligatorek; 14,800 kra-
weczyń; 26,000 szyjących bieliznę; 4,800 szew-
czyń; 44,000 praczek; 11,000 zajętych przy ma-
szynie od szycia. Pilnowaczek chorych, doktorek,
przełupek, zajętych w sklepie i po zakładach
przemysłowych, urzędniczek po biurach rządowych
i prywatnych, artystek, pisarek jest razem 200,000
osób. *Londyńskie stowarzyszenie kobiet* usiłuje
wprowadzać w obyczaje, aby wszędzie, gdzie tylko
można, służba żeńska zastępowała mężką, pokojó-
wka drogą płatnego lokaja. Wiele pań z najwyż-
szej arystokracji już się do tego przychyliło; wy-
myślono nawet pewien rodzaj liberyi dla dziewcząt
pełniących służbę w pokojach, zostawiając loka-
jom jedynie obsługę panów i służbę zewnętrzną,
jak na przykład przy wyjeździe na miasto.

Zawody szkoły paryskiej dla dziewcząt, zwa-
ne szkołami Elizy Lemonnier, rozpoczęły rok szkol-
ny z dniem 2 października. Kurs trwa lat trzy;
nauka obejmuje przedmioty: szycie i krój tak su-
kien jak bielizny, stroje, kwaciarstwo, prowadze-
nie ksiąg kupieckich, rysunek, malowanie na por-
celanie, drzeworytnictwo. Liczne grono pań, z wy-
branych ze swego Iona komitetem, czuwa nad temi
szkołami i wykształceniem dziewcząt, moralnem wy-
chowaniem ich, przytem wspomaga wychodzące
ze szkoły uczennice radę i wyszukiwaniem im pracy.
Szkół takich jest w Paryżu cztery: przy Rue de
France, N. 31; Rue Duperre N. 18; Rue D'Assas
N. 70; Rue de Reuilly, N. 20.

Paryżka Akademia Medyczna przestała Ludwi-
ce Subra, z pierwszego małżeństwa wdowie po le-
karzu Baric, zamieszkałej w Algeryi 500 franków
nagrody za szczególne zasługi w rozpowszechnianiu
szczepienia ospy.

Dekretem Izby, wydanym w dniu 6 Sierpnia, sto-
warzyszenie prywatne: *Związek kobiet francuzkich*,
zostało uznane za instytucję użytku publicznego.
Związek kobiet francuzkich (Union des femmes de
France) nie ma żadnych celów emancypacyjnych;
głównym jego zadaniem jest następczenie kobietom
pracy i rozszerzanie uczuć patryotycznych.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się
arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Żelazo**.

TREŚĆ. Z ksiąg prorockich, (poezya). — Wspomnienie poety, zyciorys, (dalszy ciąg), przez M. I. — Ostatni figiel pana Wojszczyca, (dokończe-
nie). — Przegląd teatralny, (dokończenie), przez Stanisława Krzemińskiego. — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Grobowiec króla-pokutnika,
(dokończenie), przez S. K. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Kronika działalności kobiecej.